DZIENNIK NARODOWY.

PRENUMERATA
Na rok . . . . fr. 15
Na miesięcy sześć . . fr. 8
Na miesięcy trzy . . fr. 4

Dziennik wychodzi co sobotę.

Nr 88.

DNIA 3 GRUDNIA 1842 ROKU.

Wszystkie pisma i przesyłki pieniężne adressowane być mają *franco* : à la *Librairie Polonaise*, rue de l'Echandé, N. 9.

KRONIKA.

EMIGRACYA.

Obchody w Paryżu dwónastéj rocznicy powstania listopadowego.

Dzień 29 Listopada przypomina nam tyle świetnych i smutnych pamiątek, iż powinienby— jakto kaznodzieja nasz powiedział— być dla nas jedynie dniem rozpamiętywania i głębszego wejścia w siebie samych. W tym dniu Bóg wziął Polskę na doświadczenie, czy godna już była ukończyć dzieło pokuty za swoje dawne winy. Aż oto zniecierpliwiona, stanąwszy w pół drogi, zrzuciła włosiennicę, i przywdziawszy szaty godowe, rzekła jakoby : Błogosławieństwo Boskie samo przyjdzie ; muszę dziś odzyskać moją niepodległość. Błogosławieństwo jednak nie przyszło, jak widzimy, i w niwecz obróciły się owe wielkie zamiary odrodzenia się politycznego, owe mnogie zasoby i tysiączne ofiary na ołtarzu ojczyzny złożone. Zapytani dlaczego tak jest? odpowiadają : bo zdradził ten lub ów, bo nie umiano rządzić, bo nie widziano gdzie są siły narodowe, albo nie chciano ich wywołać, bo spuszczano się na obcą pomoc, bo nareszcie była anarchia. Gdyby nawet wszystkie te przyczyny uznać za rzeczywiste, to i tak jeszcze można byłoby zapytać, zkądże one wyniknęły? Odpowiadamy więc : wyniknęły ztąd, że naród w chwili powstania nie miał jeszcze wysłużonego sobie odkupienia, nie dość się był poprawił, nie wrócił dostatecznie do religii przepisanéj światu przez jego Najświętszego Zbawiciela. Dopóki tego trudnego powstania przeciw własnym wadom i słabościom nie wykonamy, dopóty zawsze darmo będziemy powstawali przeciwko zewnętrznym wrogom ojczyzny; dopóty każde nasze porwanie się, chociażby najgłośniejsze w świecie, jak tyle razy już bywało, spełznie na niczém, powiększy tylko gorycz naszych łez i ciężar naszego ucisku. Tu leży jedyne lekarstwo na niedostatek odpowiednich powołaniu naczelników, na nieufność w siły własne, na wiarę w obcych, i na tę anarchią, któréjby pewnie nie było, gdyby rządzący umieli rządzić, tojest gdyby rozumieli prawdziwe przeznaczenie narodu i pałali czystą żądzą uczynienia zadość jego obowiązkom.

Te myśli nie są zupełnie nowe, ale to jest nowością w tegorocznym dniu 29 Listopada, że po raz pierwszy stanęły przed nami jako uroczysta i straszna przestroga w głosie kapłańskim, śmiemy powiedzieć w słowie Ducha Świętego.

O godzinie jedenastéj zrana, w kościele Ś. Rocha, w kaplicy Kalwaryi przeznaczonéj na nabożeństwo Polakom, miał mszę xiądz Duński. Wśród zgromadzonych przeszło 400 osób, znajdowało się grono kilkunastu małoletnich uczniów polskich ze szkoły umieszczonéj przy pensyi francuzkiéj, niedaleko Paryża w Chatillon-sous-Bagneux, ubranych w mundury barwy narodowéj. Całe zgromadzenie zachowywało ciszę i powagę niedającą się postrzegać lat innych. Około czterdziestu rodaków przystąpiło do stołu Pańskiego. Po mszy wszedł na ambonę xiądz Kajsiewicz.

Pierwéj nim czytelnikom naszym udzielimy treść słyszanéj nauki, musimy wyznać w jaki sposób jedynie poważamy się o têm mówić. Kazanie, dla nas przynajmniéj, nie jest przedmiotem do takiego rozbioru jak artykuł dziennika, jak rozdział książki, albo głos na posiedzeniu uczoném lub politycznem. Naukę kapłańską oceniać krytycznie, dar ducha Bożego zlany na kaznodzieję chwalić i podziwiać jako talent krasomowstwa, uważalibyśmy sobie za znieważenie świętego urzędu, za ciężki grzech pychy stającéj ze swoją sędziowską powagą nad amboną, równie jak nad mównicą polityczną, albo sceną teatralną. Prawdziwą pochwałę kaznodziei podobno można tylko wyczytać w pokornêm milczeniu i rozrzewnionych twarzach słuchaczy ; apoteozą kazania może być tylko skrucha i poprawa. Te owoce należą do przyszłości, a miara ich jest w ręku Boga. Dlatego nie myślimy tu wypisywać naszych własnych lub postrzeżonych na innych wrażeń i uczuć, ale śmiemy zaledwie powtórzyć trochę tego, co mamy w żywéj pamięci, a więcéj jeszcze w sercu, co zaiste godne jest powszechniejszéj wiadomości i uwagi.

Xiądz Kajsiewicz począł od słów Jana Chrzciciela położonych u Łukasza Ś. § 3. «*Już siekiera do pnia jest przyłożona*»—i całe jego kazanie było — można powiedzieć — jednym wielkim głosem nawołującym rodaków do pokuty i poprawy. Oświadczył na wstępie iż wolałby poprzestać na cichéj modlitwie w dniu, który dla nas szczególniéj powinien być dniem rozpamiętywań i rachunku sumienia, ale ponieważ bracia żądali aby mówił, powie im szczerą prawdę, nie będzie ich chwalił, bo nanieszczęście niemasz zaco, będzie ścigał wady i grzechy narodowe. Wspomniawszy potém że dni naszych historycznych pamiątek są najczęściéj dniami znaczącemi w Kościele, że sam dzień 29 Listopada jest wigilią Ś. Andrzeja Apostoła Sławian drogiego dla Polski, zastanawiał się jak się to stało, że naród nasz prawowierny, katolicki, oddał Bóg pod jarzmo obcych panów, schyzmatyków i protestantów. Zaiste musiał on ciężko zgrzeszyć przeciw głównéj zasadzie swojéj narodowości; bo jeśli naród przy wszystkich środkach materyalnych do utrzymania swojego bytu, traci niepodległość, najracyonalniéj, tojest najpowierzchowniéj rzeczy sądząc, przyznać jednak wypadnie, że zepsuł, osłabił pierwiastek żywotny swego jestestwa. Wszystkie narodowości na jedném tle chrześciańśtwa narysowane, mają wszakże odrębne, właściwe sobie piętna. Jeśli religia chrześciańska przeniknęła gotowy organizm innych narodów, dla naszego była zawiązkiem organicznym, pierwsza spoiła sypkie jak piasek jego ciało. Co Polszcze brakowało z innéj strony, to znajdowała w wierze; wiara nagradzała w narodzie naszym niedostatek wielu instytucyi publicznych i słabość rozumu zbiorowego. Z upadkiem wiary, Polska musiała upadać i pogrążać się w cierpienia. Katolicyzm względem narodowości naszéj jest jakby mur na którym ona namalowana, wpoiła się weń, wsiękła i stanowi jedną z nim całość. Nie mniemajmy żebyśmy ją mogli

zdjąć ztąd i przenieść, przylepić gdzieindziéj. Póki ten mur stoi, szkody jéj zadane możemy naprawiać, barwy odświeżać; ale skoro mur upadnie, nic jéj nie uratuje,—a już jest podważony: siekiera do pnia przyłożona! Krew męczenników za religią katolicką, pomiędzy unitami zaczęła użyzniać polską ziemię. Wyrosną z niéj drogie dla ojczyzny owoce. Bracia unici nie wyrzekli się swojéj wiary, jakto głoszą ich prześladowcy, strwożyli się tylko, ulegli powierzchownie, ale i to już jest dopuszczeniem wielkiego złego. W téj chwili przychodzi koléj i na obrządek łaciński. Niepłonne są zapewne wieści, że świętokradzka ręka zamierza tknąć się najświętszych przybytków Ostréj Bramy i Częstochowy. Braciom Podolanom dano do wyboru, albo się wyzuć z ojczyzny i majątków, albo zaprzeć się katolickiego wyznania. Przyjdzie doświadczenie na wszystkich. Biada nam jeśli się który z nas zachwieje, kiedy Bóg powoła nas na świadectwo przed ludźmi, biada nam jeśli się nie poprawimy. I jakiež jest nasze życie? coto jest katolik polski, szczególnie szlachcic? Podobnego katolika w żadnym kraju niemasz: dziwaczna mięszanina złego z dobrém. Religia jego zasadza się na spełnieniu jako tako raz w rok sakramentu pokuty. Potém zaledwo wyszedłszy z kościoła poczyna nanowo grzeszyć przeciw Bogu, sobie i bliźniemu: odrzuca precz pokorę, wstrzemięźliwość, miłosierdzie, i daléj postępuje jak postępował, do drugiéj rocznéj spowiedzi. Lepsiż jesteśmy dzisiaj na obcéj ziemi, w tułactwie? Zaiste nie. Dwanaście lat upłynęło w ciągłym zamęcie i *próżnych robotach*: każdy z nas widzi siebie przed drugimi i chce *przez siebie* zbawić ojczyznę. Kocha ją niby, ale kocha siebie stokroć więcéj. Cóż na dnie tych wszystkich, okraszonych patryotyzmem usiłowań leży? Oto pycha!— i nie pycha nawet, bo ta przynajmniéj wspina się wysoko, ale raczéj jak Skarga powiedział, *szara pyszka*, drobna, pozioma miłość własna. Ten i ów, pełen zarozumienia tworzy teorye, buduje systema, odstąpiwszy jedynéj prawdy, chce ją wydobyć i narzuca innym ze swojéj głowy. Niesczczęsny! w czas się wybrał na poszukiwania, za któremi przeszło ośmnaście wieków przed nim próżno gonili mędrsi od niego ludzie. Jestto tak jak gdyby kto wymyślał nową taktykę kiedy wojsko stoi pod ogniem działowym. Przez dwanaście lat Emigracya polska wygadała się i wypisała się dostatecznie, i cóż jéj ztąd przybyło prócz zawiści, niesnasków domowych, zwad i obrazy Boskiéj? Pozakładane pisma sterczą nakształt rozbójniczych zameczków w średnich wiekach, na obdarcie ze sławy każdego kto się ich opiniom opłacić nie chce. Chociażbyśmy się wszyscy oczernili nawzajem aż do ostatniego, czy aby jeden krok będziemy bliżéj celu? Czas upamiętać się, wyjść z bezużytecznych i szkodliwych krążeń w zaczarowaném kole próżności i dumy. Dobijamy się o władzę, idziemy do niéj przebojem, niepomni iż władza w zwyczajnym porządku rzeczy jest już trudnym obowiązkiem, a w położeniu wyjątkowém jak nasze, ogromnym ciężarem, pociąga do strasznéj odpowiedzialności przed Bogiem; lecz będziemy odpowiadali nie za tę któréj nie mamy, ale za tę, którą prawnie piastować będziemy kiedy na nas święty ten obowiązek włożony zostanie. Pomnijmy że wszyscy zgrzeszyliśmy i wszyscy pokutować winniśmy; koniec połóżmy wyrzutom i nieprzyjaźni, wszakże różnica w zdaniu sumienném, osłabiać miłości braterskiéj nie powinna. Naśladujmy w tém inne narody, których synowie bez względu na opinie kochać się i szanować się wzajemnie nie przestają. A jednak gdzież jest ta miłość, to wyrozumienie braterskie pomiędzy nami? Użyliśmy wolności druku na pociski jednych przeciw drugim, odsłaniamy nasze wady, nasze swary nawet przed obcymi, świecimy łachmanami naszéj nędzy. Któż wyliczyć zdoła nasze wszystkie publiczne i prywatne grzechy! Nie dziwmy się, nie szemrajmy że Bóg nie podźwiga z grobu ojczyzny, wprzód sami zmartwychwstańmy w duchu. Panie! przez miłosierdzie Twoje, wziąłeś nasz naród na krzyż, i naciągasz go jak strunę; dotąd wydaje tylko jęk bolu, ale go dostroisz, wyda czysty głos skruchy i chwały dla Ciebie, albo pęknie... *Polska poprawić się musi, albo zginie;* Emigracya poprawi się, albo zmarnieje, z cierpień swoich nie odniesie żadnego owocu ani dla ojczyzny, ani dla siebie.

Po tych zbawiennych przestrogach i strasznych upomnieniach danych przez usta kapłana, idąc zaraz na zwykłe nasze obchody polityczne, a widząc w twarzach rodaków powszechne niemal wzruszenie, słysząc w ich tłumie, nawet przed progiem kościelnym, pochwały albo potwierdzające rozbiory odebranéj nauki, spodziewaliśmy się jakiekolwiek jéj skutki zobaczyć naocznie. Ze smutkiem wyznać nam przychodzi, iż nadzieja ta *najzupełniéj* nas zawiodła. Żadne stronnictwo nie wzięło słów kaznodziei do siebie, żaden naczelnik partyi, żaden pretendent do władzy nie zachwiał się na dawno obranéj drodze, żaden publicysta nie przekreślił choćby kilku wyrazów w przygotowanéj mowie, a niemal wszystkie głosy naczelników, pretendentów do rządzenia, publicystów i lekarzy rozumu narodowego, zdaje się że umyślnie były ułożone na przeciwieństwo kazaniu xiędza Kajsiewicza. Niema już co i ubolewać nad tém, żeśmy nie mogli w jedném ogólném gronie czcić wielkiéj pamiątki; to gorsza, że we wszystkich starych naszych przedziałach, nie objawił się choćby drobny punkcik zadraśnięcia obiecującego zlanie się ich kiedyś przez skruchę, przez pokorę i miłość, obudzoną głosem religii, głosem wreszcie prawdziwego patryotyzmu.— Opowiemy pokrótce czegośmy byli świadkami.

O godzinie 1széj z południa, otwarte zostały dla publiczności drzwi sali Instytutu historycznego (9, *rue St. Guillaume*), w któréj sekcya Paryzka Towarzystwa Demokratycznego Polskiego zamówiła miejsce na swój obchod. Posiedzenie zagaił Członek Centralizacyi P. Jakubowski; po nim czytał P. Zienkowicz, wydawca Pszonki, nakoniec przemówił P. Żurawlewicz. Rzeczywiście w tém wszystkiém nie można nic znaleść, coby zasługiwało na uwagę; to tylko chyba, że w całém zgromadzeniu ze stu kilkudziesiąt demokratów naszych złożoném, w głosach prezydującego i mowców, w oklaskach słuchaczy, panowała jakaś ostygłość i martwość. Ktoby nieznający zkądinąd dziejów Towarzystwa, zobaczył tu znaczną część jego, musiałby powiedzieć, że to ciało krzepnie i kamienieje, że już zgasło w niém życie. Nie było nawet zwykłych temu stowarzyszeniu przechwalań się ze swoją potęgą i z dopiętemi wielkiemi celami. Prócz kilku czułych rzutów oka na długie nasze tułactwo i na kraj, gdzie powróciwszy nawet błąkalibyśmy się wśród nowego pokolenia jak upiory po grobach, prócz kilku wzmianek o Bogu i Opatrzności w mowie P. Żurawlewicza, reszta składała się z najoklepańszych zdań i wyrażeń, po sto razy już wydrukowanych w pismach emigracyjnych wszelkich odcieni tak zwanéj demokracyi. Za tę łataninę sposzytą w cóś nakształt rozprawy historycznéj, a wydeklamowaną po studencku, Wydawca Pszonki, odebrał najwięcéj oklasków.

O godzinie drugiéj rozpoczęło się w Bibliotece Polskiéj (3, *rue des Saussaies*) posiedzenie nadzwyczajne Towarzystwa Literackiego Polskiego, poświęcone dawnym obyczajem na cześć rocznicy listopadowéj. Po wyjściu z kościoła, nigdzie nie można było trafić na mocniéj uderzającą różnicę rzeczy Boskich od ludzkich. Tam u stóp krzyża, sługa Boży, w pokorze ducha, wzywał swój naród do powrotu pod niebieską opiekę; tu za zielonym stolikiem, sługa polityki i widoków doczesnych, znękany półwieczną pracą w tym zawodzie, uginający się pod ciężarem wkładanych nań wymagań przez garstkę stronników, wołał do

narodu, że w nim, w jego rachubach, środkach i marzeniach, ma jedyną nadzieję, jedyne narzędzie swego zbawienia! Publiczność stojąca, ponieważ krzeseł nie było, w ciasnéj sali bibliotecznéj, składała się z małéj liczby dygnitarzy Towarzystwa Literackiego, i z kilkudziesiąt po większéj części nieznajomych młodych ludzi, zwolenników mniemanéj dynastyi xiążąt Czartoryskich. Przemawiając jako Prezes Towarzystwa xiąże Adam Czartoryski, witał naprzód przybyłego po kilku miesiącach niebytności szanownego Vice-Prezesa, kasztelana Platera; oświadczył potém rodakom wdzięczność za dowody ich współczucia jakie odebrał w czasie niebezpiecznéj swojéj choroby przeszłego lata; oddał hołd pamięci xięcia Orleanu, w którym Polska miała ponieść stratę bardzo dotkliwą: daléj przystąpił do uczczenia rodaków poległych w wojnie 1831, którym ojczyzna wzniesie pomnik chwały na polach Grochowa. W drugiéj części swojéj mowy, zwrócił uwagę słuchaczy na swoje położenie osobiste, zaręczał iż *bądź co bądź* wytrwa do końca, że będzie zbierał ziarnko do ziarnka aby z tego silną całość utworzyć, a kto temu przeszkadza, kto nie gotów *do posłuszeństwa* (zapewne xięciu), ten grzeszy przeciw ojczyznie; ubolewał iż przeszkadzając jedni drugim przez zawiść, Polacy wyrządzają sprawie narodowéj niepowetowane szkody. Nakoniec kazał czerpać radość i otuchę — obaczmyż w czém? Oto naprzód w tém, że kupcy Królewieccy oburzeni okrutném obchodzeniem się Moskali z dezerterami, oświadczyli królowi pruskiemu, iż wolą ponieść materyalne straty, niżeli widzieć odnowiony kartel; powtóre, że król pruski nie odnowił téj umowy względem wzajemnego wydawania zbiegów i okazuje przychylność dla Polaków; potrzecie, że Głowa Kościoła powszechnego ośmieliła się oskarżyć przed światem rząd rossyjski, wyliczając szereg wielkich prześladowań, pod któremi jęczy religia katolicka w Polszcze, a jeżeli papież nie pojmuje narodowości polskiéj tak jak my ją rozumiemy, nietrzeba dziwić się temu bo to pochodzi zapewne z jego *niewiadomości*: dość na tém że się sprzeciwia Rossyi w rzeczy religijnéj; poczwarte, że sir Robert Peel pierwszy minister angielski, podczas ostatnich rozpraw o Polszcze w parlamencie, uznał prawa narodu polskiego; popiąte, że coraz większego popędu nabiera kwestya sławiańska, w któréj Polska zajmie dostojne miejsce, jeśli będzie przygotowaną, (co ma się rozumieć jeśli uzna za swego króla xięcia Adama). Te są wskazane dla nas pociechy i nadzieje, których tu roztrząsać nie będziemy; każdy je łatwo oceni. Xiąże zakończył swoją mowę zaleceniem ufności w Bogu; a jeśli to nie jest tylko frazes ze zwyczaju, trudno go pogodzić z ową wyżéj stawioną narodowi ufnością w przyjaźń króla pruskiego, w słowa ministra angielskiego, i w teoryą głoszoną przez dziennik Trzeciego Maja. Dziennik ten powtarza wprawdzie, iż niedość jest modlić się i mieć ufność w Bogu, trzeba działać, a wzywania do pokuty i poprawy, nie wskazują jeszcze bynajmniéj co daléj czynić. Oh! gdybyśmy pierwéj poprawili się istotnie, gdybyśmy zrzucili z oczu zasłonę zarozumiałych i dumnych marzeń, możeby stało się jawném powszechnie kędy dalsza droga, możeby dał się usłyszeć głos zbawienia.

Po xięciu Czartoryskim zabrał głos P. Karol Hoffman jeden z Członków Towarzystwa Literackiego, i odczytał przygotowaną rozprawę o usposobieniach narodowych. Wedle niego, powołaniem Polaków mających kraj wyswobodzić jest *apostolstwo*. To apostolstwo odbywało się dotąd, albo względem rządów, albo względem ludów; pozostaje trzecie względem własnego kraju. Przez lat jedenaście podawane środki wyswobodzenia ograniczyć można do następujących: wiara religijna, władza, moralność, sprawiedliwość. Pierwszy środek szukał Polski wyłącznie w pobożności i w kształceniu się moralném; drugi w rządnéj i karnéj organizacyi; inne w ogólnym wymiarze sprawiedliwości. Byli tacy nawet, a cóżto nam szkodzi — rzekł mowca — co przypuszczali iż Polska cudem zmartwychwstanie. Zdaniem P. Hoffmana żaden z tych środków bytu nam nie wróci, podaje tedy nato swoję *receptę*, tojest przepisuje *miłość ojczyzny*, tylko nie taką jaka była dotąd, ale lepszą, *praktyczniejszą*. Polakom, powiada, nie zbywało nigdy na wierze, na pobożności, na cnocie, a jednak kraj utracili. Możeż być narod prawowierniejszy jak Czesi, a jednak nie ma niepodległego bytu. Więc to wszystko na nic. Co gorsza, gdybyśmy jedynie przywiązali się do religii, musielibyśmy coraz bardziéj pozbywać się narodowości; gdyż nic tak nie dąży do zatarcia oddzielnych cech narodowych jak katolicyzm. Wreszcie widzimy jakie pociski na naszą narodowość wymierza sama Głowa Kościoła, i nic dziwnego, bo wyjarzmienie się częstokroć wymaga środków potępianych przez ścisłe zasady religii, a czyż dla tego mamy je odrzucić? Cel uszlachetnia sposoby, dobry skutek uwieńcza dzieło. Niech kapłani zlewają balsam wiary na zbolałe serca nasze, my chwytajmy się środków praktycznych. Użalamy się na materyalizm, na zepsucie, tak jak gdyby ich nigdy nie było. Wszakże temu lat kilkadziesiąt dawały się słyszeć te same narzekania, a jednak ta zaraza materyalizmu i zepsucia, nie przeszkodziła bynajmniéj zarażonym, jak widzimy, do dobrego bytu i pewnéj świetności. Nam o jedną rzecz chodzi, o praktyczną miłość ojczyzny. Dotąd kochaliśmy kraj, gotowiśmy byli w ważnéj chwili do wielkich poświęceń, lecz równie z tą chwilą zasypialiśmy zwykle w nadziei, że kiedyś przebudzi nas głos samych wypadków. Tu P. Hoffman wylicza różne wady narodowe, pomiędzy któremi gromi najmocniéj skłonność do cudzoziemczyzny, w niéj widzi główną naszą zgubę, i utrzymuje że Mikołaj, nie powinienby wzbraniać wstępu zagranicznym przybyszom do Polski i odbierać rodzicom wolny wybor nauczycieli dla dzieci, ale zachęcać ich do téj nieszczęsnéj obcomanii, a tym sposobem zabiłby najprędzéj Polskę, bez zgorszenia Europy, owszem z jéj oklaskami. Woła potém: nie takiéjto potrzeba miłości kraju. Niech naród będzie rządny, czynny, przezorny, pracowity, wytrwały, pełen gotowości do ofiar, niech wypleni chwast cudzoziemczyzny, niech umie korzystać z każdéj przyjaznéj okoliczności, a znajdzie się skarb, broń, wojsko i reprezentacya wśród dwódziestomilionowego ludu; znajdzie się skarb w dobytku każdego, broń po lasach, bagnach lub składach zagranicznych, wojsko w każdym Polaku, reprezentacya we wspólności uczuć narodowych. P. Hoffman wystawuje nam Czechów jako bardzo religijnych a jednak bez niepodległości za dowód iż nie jedna religja ocalić ją może, i zapomina iż właśnie w Czechach herezye przyczyniły się dawniéj najwięcéj do obalenia niepodległości. Co P. Hoffman nie biorąc religii za podstawę mówi jeszcze o uczuciach, zkąd chce wyprowadzić wszystkie przymioty których rodakom życzy, słowem jak pojmuję całą swoją nową praktyczną miłość ojczyzny, tego dójść i wyłożyć nie umiemy. Nie potrafiliśmy także złapać logicznego wątku w tém co mówił o naturalnym wodzu Polaków, który się znajdzie i będzie umiał przywdziać w razie potrzeby, siermięgę bohatera Maciejowic, o ośmiu dniach drogi z Hawru do Połągi, i zkądinąd sprawiedliwym wyrzucie zrobionym rządowi narodowemu, iż pomimo tego Litwę bez broni zostawił; jakim sposobem nakoniec wywiódł swoją praktyczną miłość ojczyzny od Boga, któremu obyczajem krasomowskim zapewne zostawuje resztę roboty. Jakkolwiek w wielu rzeczach zwykle zgadzamy się z szanownym mowcą, i teraz podzielamy nie jedną jego myśl względem cudzoziemczyzny i innych wad narodowych, wyznać wszakże musimy, iż całą jego rozprawę uważamy za chwilową chorobę na Machiawelizm. P. Hoffman, człowiek zacny, uczciwy i rozsą-

dny nie powinienby powtarzać iż się znajdują tacy którzy radzą *tylko się modlić* nie pracując nad wybawieniem ojczyzny, gdyż to jest zarzut niesprawiedliwy i nikt podobnéj rady nie dawał, wskazując na religię jako jedyny środek do wypełnienia wszelkich obowiązków. Bóg wie dlaczego ułożył sobie *bądź co bądź* zostać Machiavellim polskim, nie mogąc wspiąć się do jego okropnéj ale zdumiewającéj wysokości.

Wieczorem o 7éj, poczęło zbierać się zgromadzenie zwane ogólném, w sali wielekroć już na różne obchody polskie najmowanéj (45, rue de Grenelle Saint Honoré). Przeszlego roku wszystko tu odbywało się pod godłem i sterem związku Zjednoczenia; można nawet powiedzieć, że związkowi mieli raczéj na celu wyrządzić cześć swojemu stronnictwu, niżeli pamiątce 29 listopada, tryumfalnie obejmowali stolec urzędowy dla dwóch trzecich części wyrobionego przez się Komitetu. Ten Komitet, co miał położyć kres niedostatkowi władzy narodowéj dla Emigracyi i Kraju, rozchwiał się niedobudowany; teraz niebyło już najmniejszéj wzmianki ani o nim, ani o samém wszechwładném Zjednoczeniu. Kto i z czyjego mandatu urządzał obchód, niewiadomo; trudno nawet zgadnąć kto istotnie prezydował i z jakich tytułów różni dygnitarze zajmowali miejsca, przygotowane w tym lokalu dla częstych jego dzierżawców, *masonów*. Na podniesieniu za środkowym stołem w głębi, krzesło Wielebnego dostało się Panu Vavin, deputowanemu jedenastego okręgu Paryża; obok niego byli jenerał Dwernicki i deputowany Zwierkowski. Przy dwóch stolikach posunionych nieco bliżéj ku publiczności, siedzieli pojedynczo, z jednéj strony poseł Leduchowski, z drugiéj jenerał Sołtyk, na samym przedzie przy kratkach, miał stolik także udzielny, P. Rogiński. Różnobarwny i różnonarodowy tłum tłoczył się na dole i na galeryi rozległéj sali. Znajdowało się wiele kobiét; kilka rzędów ławek naczelnych poświęcone im prawie wyłącznie zostały.

Pan Zwierkowski krótkiem przemówieniem zagaił posiedzenie i dał głos Panu Vavin, który jak pokazało się zastępował Pana Lasteyrie dziedzicznie zastępującego ś. p. Lafayetta. Sędziwy Lasteyrie, z powodu śmierci żony i choroby syna, nie mógł dopełnić obowiązku dzwiganego uprzejmie. P. Vavin mówił, co pospolicie w podobnych razach zwykli nam mówić nasi przyjaciele Francuzi, zwłaszcza chcący dać poznać swój charakter oppozycyjny. Jedną rzecz tylko dodał wcale oryginalną. Powiedziawszy żeśmy zrobili rewolucyą listopadową po rewolucyi lipcowéj i dla zasłonienia jéj poświęcili się szlachetnie, żałował żeśmy nie wpadli na myśl lepszą. Wedle jego planu, należało Polakom dosiedzieć cicho, pójść w przedniéj straży wojsk rossyjskich przeciw Francyi, a dopiero nad Renem nagle zmienić front i przewrócić od razu kolos Północy. Po Panu Vavin zabrał głos jenerał Dwernicki. Treść jego mowy niezawierała nic nieznajomego dotąd, owszem z rzadką zręcznością tak wyłowił i uszykował w jeden hufiec wszystkie okresy emigracyjnego krasomowstwa, zdobywające niewątpliwie oklaski, iż następnym mowcom w polskim języku, zamknąłby usta, gdyby lękali się tegoż samego wieczoru powtórzyć jeszcze i jeszcze raz toż samo; ale w osobie jenerała jest coś tak staropolskiego, tak prostodusznie żołnierskiego, że frazeologia oklepanéj naszéj polityki, traciła w jego ustach swój ckliwy charakter. Po jenerale Dwernickim mówił P. Buchez, następnie P. Gorecki z pamięci wierszem, daléj P. Ordęga z pisma po francuzku, P. Januszewicz po polsku, P. Zach narzeczem czesko-polskiém. P. Krystyn Ostrowski po francuzku, P. Zwierkowski znowu po polsku i nakoniec P. Vavin zamknął posiedzenie.

W uczonéj rozprawie Pana Buchez, którego systema znajome, były niektóre rzeczy głęboko pojęte i umiejętnie powiedziane. Biorąc kwestyą Polski w stosunku jéj ze Sławiańszczyzną, rozwijał myśl, że zwykle w epokach upadkowych występuje idea jedności plemiennéj, a tuż przy niéj świta jako jutrzenka nowego porządku idea religijna, i dlatego Polska niepowinna dać się wciągnąć w bryłę sławiańśtwa, ale ze swojéj wiary katolickiéj prowadząc daléj wzmagać i szerzyć własne narodowe życie. Publiczność jednak słuchała go z oziębłem milczeniem. Kiedy zaś poźniéj jego uczeń, P. Ordęga, nie tak czystą francuzczyzną a dzwięczącą akcentem Kaliskim, począł popisywać się z drobniejszemi widokami, sypały się gęste oklaski. Musiało to dziwić jego nauczyciela. Wiersz P. Goreckiego tchnął duchem niezmiernie wojennym. Bard nasz, jak sam siebie nazwał, zdaje się że już miał jedną nogę w strzemieniu i z podniesionym bułatem wzywał rodaków w imię Jezusa Pana do strasznéj zagłady nieprzyjaciół, i wśród huku spiżów nucił już hymn zwycięztwa. P. Januszewicz wypotrzebował wiele atramentu, słabego głosu na opłacenie się niezmordowanym słuchaczom, bez wewnętrznéj wartości ale dzwięczną monetą wyrazów : wolność, równość, braterstwo, lud, dla ludu, przez lud i t. d.; gdy zaś nie pośpieszył dołożyć, wołano z parteru — a własność? Czas i miejsce niewystarczają nam na zebranie mowy P. Krystyna Ostrowskiego, zwłaszcza że poważne swoje pomysły o przeszłym i przyszłym stanie Polski, o schyzmie, jezuitach, katolicyzmie bez papieża i t. d. przeplatał często lekkiemi zwrotami dowcipu, albo poetyckiém malowidłem obrazów, w czém gdy mu się zdarzyło użyć zanadto kolorytu Szui i Żelaznéj Maryny, jakiś drażliwy przyjaciel skromności publicznéj — gwiznął. Mowca nie zmięszany rzekł tylko : « *Messieurs ce sifflet est payé par l'or, par l'or russe, je vous assure* » — i jak zaczął tak prowadził rzecz do końca. Pomiędzy wszystkiemi mowami, odznaczała się miłą jakąś świeżością i prostotą krótka mowa zacnego Czecha Zacha. Niektóre wyrażenia widocznie z czeskiego spolszczone, miały wdzięk szczególny. Opowiadając usiłowania literackie w celach patryotycznych swoich ziomków i pobratymców, ugęczał że nie pragną oni w myśl Rossyi zmassowania Sławiańszczyzny, ale chcą swobodnego rozwinięcia wszystkich narodowości i z serdeczném spółczuciem poglądają na Polskę. P. Zwierkowski, ku wielkiemu zdumieniu bliższych i dalszych jego znajomych, wystąpił w roli najmniéj spodziewanéj, w roli prawowiernego katolika, niemal doktora teologii zawzięcie powstającego nato co nazywa herezyą w Emigracyi. Pan Vavin zamykając posiedzenie, winszował że się wszystko bardzo pięknie odbyło, wynurzał swoją osobistą sympatyą dla Polaków, przyrzekł za siebie i za swoich przyjaciół politycznych, że każdy z nich nie zaniecha przybyć na obchód skoro będzie wezwany, i pożegnał nas—do zobaczenia się w tém samém miejscu na rok przyszły.... Nie miejmy tego za złe cudzoziemcowi. Któryż Polak, widząc tylko rzeczy tak jak się w naszych politycznych gronach i działaniach przedstawiają, mógłby obiecywać co lepszego.

— Obchód rocznicy listopadowéj w Poitiers odbył się pod prezydencyą ziomka Odyneckiego, zabierali głos po polsku : PP. Ziemecki, Fr. Sochaczewski, J. Garnysz, J. Kozikowski; po francuzku : K. Podwysocki i jeden młody Francuz. Szczegóły tego obchodu damy w przyszłym numerze.

— Redakcya Dziennika Narodowego uprasza swoich korrespondentów o rychłą wiadomość szczegółową o obchodach 29 listopada w miejscach ich pobytu.

W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, PRZY ULICY JACOB, 30.